



Na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku. Wierni z nabożnie złożonymi rękoma i spojrzeniem skierowanym ku ołtarzowi w skupieniu uczestniczą we Mszy św. Jednak coś mi zgrzyta, coś jest nie tak.

Była to IV niedziela zwykła. Msza św. o 13.00 – dosyć wygodna godzina, więc całkiem sporo ludzi w kościele. Kazanie wygłaszał fajny i mądry ksiądz. Wszystko toczy się jak zawsze: śpiew, modlitwy, ofiarowanie darów, przekazywanie znaku pokoju... † Wtedy to zrozumiałam, co mi tak bardzo w tym wszystkim nie pasowało. Niektóre osoby niechętnie wyciągnęły rękę, niektóre nawet się nie odwróciły, a żadna się nie uśmiechnęła. Żadna... Czy prawdziwy chrześcijanin rzeczywiście powinien wyglądać w ten sposób? Posępny, groźny, skupiony wyraz twarzy bez cienia radości i życzliwości? Czy tego uczył nas Chrystus? Czy o tym mówi Przykazanie Miłości?

Zaczęłam uważniej przyglądać się osobom obok i zauważyłam, że większość nie wypowiada modlitw na głos, a tym bardziej nie uczestniczy w śpiewie. Co więcej, ciągle spogląda na zegarek i chce jak najszybciej wyjść. Tak jakby ludzie znajdowali się tam z przymusu, aby zaliczyć obecność na niedzielnej liturgii. I zadałam sobie pytanie: czy rzeczywiście o to tu chodzi? Oczywiście, że nie. Chrystusowi chodzi o coś zupełnie innego. Chce być naszym Przyjacielem. A do przyjaciela nie przychodzi się z przymusu, tylko z tęsknoty, z chęci bycia razem, z miłości.

Z miłości! Tego nam właśnie brakuje. Mi-łoś-ci. Takiej szczerzej, ufnej, bezinteresownej miłości, która nadaje życiu sens, umacnia, gdy chcemy się poddać. Miłości, która jest fundamentem chrześcijaństwa, fundamentem NASZEJ wiary.

Niestety zbyt często o tym zapominamy. Skupiamy się na klepaniu modlitw, na samym przyjeździe do kościoła, na wyglądzie własnym i innych, na decyzji, ile dać na ofiarę. I brakuje

nam świadomości, że Pan Jezus czeka na nas – przychodzących do Niego z miłości! A widzi skupienie zamiast radości, powagę zamiast uśmiechu, złośliwość zamiast dobroci. Czy byłoby nam miło, gdybyśmy zaprosili gości, a oni zachowywaliby się w ten sposób? Na pewno nie. W takim razie, dlaczego zachowujemy się tak względem naszego kochającego Pana, który życie oddał za przyjaciół swoich?

Jednak aby pokochać Boga, najpierw trzeba nauczyć się kochać bliźniego i siebie samych. Warto sobie uświadomić, że nikt z ludzi nie jest idealny, i... pogodzić się z tym. Przede wszystkim zaakceptować siebie, aby móc zaakceptować innego człowieka. Nie mówię tu o pogodzeniu się ze swoimi słabościami i zaprzestaniu walki z nimi, tylko o spokojnym przyjęciu, że są i że trzeba nad nimi pracować. Uświadomienie własnych wad pozwoli na bardziej przychylne spojrzenie na niedoskonałości innych. Miłość natomiast umożliwi przyjęcie tych słabości i dostrzeżenie wielu wspaniałych cech w innej osobie. I to chodzi!

Każdy z nas mimo wielu niedociągnięć jest ukochanym dzieckiem Bożym, ma ogromną liczbę talentów i dobra, którymi nas Stwórca obdarzył. Na nich się trzeba skupiać, nie na cudzych grzechach. A jak już pokochamy bliźnich, łatwiej nam przyjdzie otwarcie się na miłość Pana. Uśmiech nie będzie sprawiał kłopotu, a podanie ręki już nie zniesmaczy. Msza św. stanie się wspaniałą okazją do bliższego spotkania z Umiłowanym, a nie nudnym cotygodniowym obowiązkiem. Ludzie obok będą już dla nas przyjaciółmi, a nie wrogami. Będziemy przychodzić do kościoła i opuszczać świątynię z radością i pokojem w sercu. Do tego potrzeba nam tak mało, a zarazem tak dużo – bo tylko i aż – miłości.